



MŁODY MEDYK

MIESIĘCZNIK STUDENTÓW UMB



Ogłoszenia drobne

Pozdrawiam Pana Docenta, który dopiero pod salą przypomniał sobie, że zapomniał dla nas kolokwiów. Wybaczam pół godziny czekania. Doceniam, docencie...

Sprzedam dużego Szczeklika. Stan idealny. Oprócz dużej dawki wiedzy (jeżeli go stworzysz) idealnie nadaje się na podstawkę pod laptopa i nie tylko.

Pozdrawiam sąsiada z DS2, który sprawnie zawiązał beżpański stolik z Ikei stojący na piętrze. Razem z lokatorką miałyśmy taki sam plan. Oby zaczął się chwiać...

Chciałabym przypomnieć, że papierowe numery naszego miesięcznika są darmowe i można je znaleźć w wielu miejscach na terenie uczelni. Pragnę również nadmienić, że numery służą do czytania, a nie jako podkładka do malowania paznokci. Trochę szacunku dla wolnych mediów.

Zakładam klub książki. Będzie kawa, ciastka i rozmowy z (moimi) ciekawymi osobowościami. Po wielu wewnętrznych sporach jako pierwszą lekturę wybraliśmy „Badanie psychiatryczne” Gałęckiego. Prosimy o szczególne zapoznanie się z rozdziałem 9. Zaburzenia dysocjacyjne (blok L1-6B6).

Sprzedam tanio czarny stetoskop Littmanna albo wymienię chętnie na zabawkowy. Myślę, że będę słyszeć tyle samo.

Szukam wspólnika do otwarcia biznesu (plan opcjonalny po ocenie mojej medycznej wiedzy i szans na zdanie egzaminów). Myślałam nad produkcją spersonalizowanych skarpetek w medyczne wzory (duży popyt wśród studentów uniwersytetów medycznych), ale jestem też otwarty na wszelkie inne propozycje. Kontakt przez redakcję.

Kupię crocasy, tryb sportowy (z kółkami w podeszwie) do biegania za prowadzącym. Rolek zabronili.

Poszukuję korepetytora, który wytłumaczy mi EKG. Tylko nie chirurga, bo ich interpretację to ja już znam. Załamki do góry - dobrze. Załamki do dołu - źle, wołać kardiologa. Co robić jak nie ma żadnych?

W związku ze zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia, Koło Naukowe Biofizyki przypomina, że niedozwolone jest używanie uczelnianego teleskopu do śledzenia Świętego Mikołaja. To ostatnie ostrzeżenie. Każda następna próba włamania będzie się wiązała z surowymi konsekwencjami prawnymi.

Pozdrawiam kierownika oddziału, który pomógł mi podczas pierwszego dnia praktyk wakacyjnych w mojej rodzinnej miejscowości. Po moim pierwszym pojawieniu się na oddziale przydzielono mi lekarza, którego pracę miałam obserwować. Jednak po krótkiej chwili zniknął z mojego pola widzenia. Na szczęście pojawił się kierownik, do którego zwróciłam się z jakże adekwatną odpowiedzią: „Panie doktorze, zgubiłam doktora”. Pan kierownik pomimo pewnej dozy rozbawienia pomógł w poszukiwaniach.

Myślałam, że kradzieże w szpitalu to tylko plotki studentów. Ktokolwiek, kto z zimną krwią ukradł moje 14 naklejek na świeżaka - oby ktoś sprzątnął Ci sprzed nosa ostatnią Parówkę Patrycję...

Miła koleżanka znajdzie miejsce w kole naukowym. Zależy mi najbardziej na takim, które dość często odwiedza konferencje. Muszę wydać pieniądze na prezenty, a chociaż tam najem się za darmo...

Szukam mężczyzny, który będzie poświęcał mi tyle uwagi, ile asystenci na neuroinfekcjach poświęcają kleszczom.

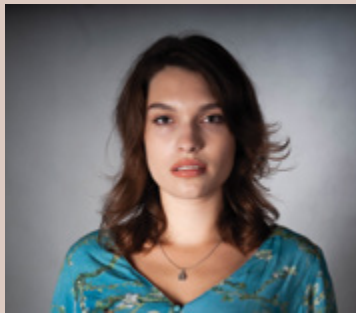


MŁODY MEDYK

MIESIĘCZNIK STUDENTÓW UMB

Kochani Czytelnicy!

Listopad przywitał nas niespodziewanie ciepłymi temperaturami, a pożegnał nieśmiało padającym śniegiem. Miało to miejsce dokładnie 16 listopada.



Na oddziale, na którym miałam wtedy ćwiczenia, podekscytowane pielęgniarki mówiły do siebie: „Słuchaj, pada śnieg!”. Po zajęciach od razu podbiegłam do okna w szatni. Nie było żadnego śniegu. Po staniu 5 minut przed oknem, w końcu go zobaczyłam. Było to kilka małych, białych, wirujących płatków. Uśmiechnęłam się do siebie i pomyślałam: „Nie ważne, liczy się. Dzisiaj spadł pierwszy śnieg”. Spytacie, czy to ma jakieś znaczenie? Oczywiście. Co roku zapamiętuję ten dzień. Dzień, kiedy pierwszy raz pada śnieg. Tak na przekór temu, że ludzie mówią, że coś obchodzi ich jak zeszłoroczny śnieg. Mnie obchodzi. To moment, od którego mogę oficjalnie zacząć słuchać świątecznych piosenek, jeść korzenne ciasteczka i planować wspólne pieczenie pierniczek. To moment, kiedy szara, ponura jesień staje się jasna, pokryta białym puchem, od którego wszystko robi się jakby jaśniejsze. Łącznie z życiem.

Ale w listopadzie nie tylko śnieg poprawi Wam humor. Będzie to również nasz nowy numer. Znajdziecie w nim... A w sumie, czego w nim nie znajdziecie! Jak zawsze będzie wesoło, będzie sentymentalnie i będzie poważnie. Gwarantuję Wam, drodzy Czytelnicy, że w tym „Młodym Medyku” każdy znajdzie coś dla siebie. Tym razem więcej nie zdradzam. Zostawiam Was z niedosytem i, mam nadzieję, ciekawością, co skrywa nasz listopadowy numer.

Ściskam Was ciepło,

Redaktor naczelna

Róża Maria Huszcza

Spis treści

- 4 NATALIA OLSZEWSKA
“Crashing”
- 4-5 NATALIA OLSZEWSKA
Patriotyczne Schodki
- 6-7 PIOTREK WALICKI
**Grand Budapest Hotel (2014),
czyli cukierek-laurka-miniaturka**
- 8-9 ORZO
**Egzystencjalna podróż po
codzienności**
- 9-10 JAKUB ALEKSIEJUK
Zapiski młodego lekarza
- 10-11 WIKTORIA CIOK
**Historia antykoncepcji w migawce,
czyli same ciekawostki**
- 12 JULIA MAJEWSKA
Jedyną stałą w życiu jest zmiana
- 13 ŁUKASZ DANIELSKI/NATALIA OLSZEWSKA
Przepis na sernik pistacjowy
- 14 KNUR W KITLU
Łyso ci?
- 15 RÓŻA MARIA HUSZCZA
To miał być luźny rok
- 16-17 **Wieczór z Poezją**

Autorką okładki jest Weronika Makowska.

SKŁAD REDAKCJI MŁODEGO MEDYKA:

Redaktor naczelny: Róża Maria Huszcza

Zastępca: Natalia Olszewska

Sekretarz: Wiktoria Żakowicz

Dyrektor Korekty: Magdalena Burel

Zespół Social Media: Wiktoria Żakowicz

Redaktorzy: Natalia Olszewska, Wiktoria Żakowicz, Paweł Ciura, Miłosz Barańczuk, Michalina Kowalska, Piotr Walicki, Gabriela Pęska, Edyta Gołaś, Karolina Karwowska, Wiktoria Ciok, Miłosz Nesterowicz, Maja Talacha, Jakub Aleksiejuk, Tomasz Kredowski, Hubert Korowicki, Otton Czajkowski, Julia Majewska, Kinga Grzeleńska, Weronika Makowska, Barbara Grudzińska

Korekta: Magdalena Burel, Natalia Olszewska, Wiktoria Żakowicz, Maria Obrycka, Paweł Ciura, Maja Talacha, Miłosz Barańczuk

Skład i druk: TOP DRUK, ul. Nowogrodzka 151A, 18-400 Łomża

Siedziba Główna Redakcji: Dom Studenta Nr 1, ul. Akademicka 3, 15-267 Białystok

Facebook.com/mlodymedyk.umb;

Instagram.com/mlodymedyk_

mlodymedyk.redakcja@gmail.com

After watching "Fleabag" for the millionth time I finally discovered Phoebe Waller-Bridge's first-born child - "Crashing". It is listed either as a comedy or as a sitcom. In a way that's true but I believe it's so much more than that. I laughed and cried in turns because of the tragicomic nature of the series. I love how Phoebe juggles truly moving moments with genuinely ridiculous ones.

"Crashing" tells a story of a few young people sharing a living space in... an abandoned hospital. When you put it that way they seem like a bunch of squatters. However, residents serve the honourable role of "property guardians". It's a fancy way of describing someone who cannot afford rent in someplace nicer. A group of strangers in an unfavourable environment starts to form some kind of a bond. Every personal connection, unresolved emotion and toxic trait create a strange and complicated blend. The community faces a variety of problems: from serious ones such as love triangles and identity struggles to trivial issues such as a leaking sink or a broken shelf.

"Crashing"

This TV series is a genuinely authentic exploration of life's chaotic and messy moments. It's a story about navigating the complexities of adulthood, taking responsibility and making difficult decisions. Waller-Bridge herself portrays Lulu - wild, free-spirited and messy woman who tries to put her life together. Throughout the series we observe Lulu in

a plethora of awkward situations. She's clumsy, rarely sober and childishly carefree. She constantly runs away from her problems, prefers joking around to a serious conversation and drinks way too much. At least she's making everyone believe that's all what she is - a reckless party-lover, a hot mess. I got the impression she's a person who's afraid that if she stops keeping herself busy, all the demons are going to catch her. There will be no other way than to face them. Maybe that's what she's frightened of. So she is constantly on the run to avoid stillness and thinking. Sometimes it's just too much to handle.

I admire Waller-Bridge's way of portraying raw, unapologetic and deeply human experience. Each resident of a disused hospital brings a unique set of quirks and vulnerabilities. The dynamics between these people are both entertaining and touching, showing the complexity of their relationships. It's a rollercoaster journey through the messiness of life. "Crashing" is captivating with its sharp wit, emotional depth and relatable characters. Therefore it's definitely a must-watch for those seeking a blend of humour and heartfelt storytelling. ■

Natalia Olszewska



Patriotyczne Schodki

Nowy rok akademicki zaczynamy zazwyczaj pełni nadziei, postanowień i planów na przyszłość. W końcu zacznę się uczyć regularnie! Zapiszę się na siłownię! Skończę z paleniem! Jednak pod koniec października zmęczeni życiem, z energetykami w jednej, a papierochem w drugiej ręce stawiamy się rano na zajęcia. Całe szczęście, że ten kryzys pokrywa się z terminem listopadowych Schodków. Czas na spotkanie w piwnicy, w gronie towarzyszy studenckiej niedoli.

Wieczór 10. listopada otworzyło dwoje konferansjerów: Andrii i Martyna. Zawsze podziwiam konferansjerkę na Schodkach: zabawna, dopracowana, pełna bystrych komentarzy... na tyle, na ile może być pół godziny przed samym kabaretem. Nie zarzucam absolutnie niedbalstwa! W końcu wielka improwiza-

cja to też zabieg artystyczny – twórczy, niebanalny – to jest to.

Magia Schodków polega trochę na tym, że wszyscy jesteśmy lekko wstawieni i trochę na tym, że te same żarty (ale w trochę innej formie) bawią jednakowo za każdym razem. Mimo tego, że słyszałam milion dowcipów o ortopedach (pozdrawiam chłopaków z AZSu), to jakoś zawsze śmieją w ten sam sposób. Szczególnie, kiedy w roli pana doktora-pasibrzucha występuje Wiksa. Chłop przebrany za babę? Raczej spasuję, chyba że jest to pielęgniara oddziałowa w wykonaniu Miłosza. Wtedy to zupełnie inna historia.

Uczelni też się zawsze trochę po głowie dostanie. I dobrze, bo Schodki są bardziej adekwatne i szczerze niż ankiety dydaktyczne. Na miejscu władz, które za-



wsze są na kabaret zapraszane, skrzętnie robiłabym notatki. Przedstawione zostały zażalenia, że uczelnia nie ogarnęła monitoringu przy szatni w USK (to już nieaktualne, bo zadziałał elegancko Samorząd, całujemy ręczki), a porządnej szatni na Żurawiej jak nie było, tak nie ma (przebierając się, czasem myślę o alternatywach zawodowych), ale za to wyremontowała skrzydło DS2. Wszyscy wiemy, że to przecież nie dla polskiego studenciaka żywiącego się ryżem i ketchupem.

W końcu głos zabrał rektor Moniuszko. Spokojnie, nie zwiastowało to jednak oburzenia władz, po prostu miał swój wkład w skecz o AMB - Akademii Magii w Białymstoku. Dostał oczywiście gromkie brawa. W lutym liczymy na dłuższą rolę. Chciałoby się powiedzieć, że występ rektora był lepszy niż każdy skecz młodych. Jednak na ostatniej edycji młodzi wypadli wyjątkowo dobrze. Skecz o zaliczeniu egzaminu był naprawdę niezły!

Komedianci z CoNieCo wzięli też na tapet charakterystykę specjalizacji lekarskich. Skrzętnie i ze szczegółami zostały nam przedstawione w formie randek. Wszystko, co zostało powiedziane, to święta prawda. Jedna specka jest za burżujska, w drugiej ciężko odróżnić pacjenta od lekarza, a kolejna - jakaś taka toporna. Myślę, że skecz docenili szczególnie szóstoklasiści i beneficjenci 13-miesięcznych wakacji postydjnych. Teraz łatwiej będzie podjąć decyzję o dalszej drodze zawodowej. Nie martwcie się, kochani - nie ma dobrych wyborów.

Na zakończenie tego skeczu konferansjerka dała znać, że koniec już z tymi randkami, bo oni są CoNieCo, a nie Młody Medyk. Halo, rękę, co o tobie pisze, to ty szanuj. I razem organizowaliśmy ten Speed Dating! W lutym pewnie znowu się wprostymy do waszej piwnicy, bo przytulna jest i wzbudzająca zaufa-

nie. Kolejna edycja Sweet Home Alabama już w te Walentynki! Weźcie siostry.

Bardzo lubię te kochane-złośliwości-tylko-z-miłości między organizacjami studenckimi. Świadczy o tym m.in. skecz, po czym poznać daną organizację na imprezie. Samorząd, wiadomo, grzecznutko, jakby to tylko prawda była (na potrzeby wizerunku uznajmy, że tak właśnie jest). BUM, typowo, królowie parkietu. A Młody Medyk, z klasą - scena rodem z „Chłopów”. Zastanawialiśmy się tylko z Różą, kto, kogo gra: Andrii mnie, a Żuzu Różę? Czy na odwrót?

Oprócz klasycznych skeczy mieliśmy też okazję posłuchać stand-upu i dwóch piosenek. Od razu było widać, że nasz redakcyjny kolega, Miłosz, to poeta z najwyższej półki! A stand-up Andrija o wycieczce do Egiptu, za hajs ze stypendium, pozwolił przynajmniej poczuć powiew uczelnianego bogactwa. Później nastąpiło oficjalne przekazanie CoNieCo nowemu szefowi. Gratulacje, Stasiu! To były super dwa lata z Andrijem, ale starość nie radość, a cyrk w końcu trzeba było oddać komuś młodszemu.

Muszę przyznać, że każda edycja Schodków błędnie robi mi dzień, pozwala się wyluzować po ciężkim tygodniu. Na kabarecie po prostu nie da się być spiętym panem marudą. Są krzyki z tłumu i żarty, które najlepiej wchodzi, kiedy jest się już trochę pod wpływem. Ciasna piwniczka, gorąco i zawsze mnóstwo, mnóstwo ludzi. A później coniecówka i kontynuacja imprezy. Schodki to po prostu część atmosfery naszej uczelni. Co do Schodków można mieć różne zdanie, ale na nich trzeba po prostu być.

Kolejna edycja już w lutym. Widzimy się! ■

Natalia Olszewska

Grand Budapest Hotel (2014), czyli cukierek-laurka-miniaturka

- *Dlaczego chcesz być boyem hotelowym?*
- *Cóż, któżby nie chciał być boyem w Grand Budapest? To prawdziwa instytucja.*

Slapstick to rodzaj komedii, która bawi nas absurdalnymi i zawstydzającymi momentami, niezdarnością postaci udaremniającą najdrobniejsze ich przedsięwzięcia oraz nieustannym bombardowaniem niewyszukanymi żartami wplatanymi w przeróżne perypetie bohaterów. Jeśli jeszcze nie czujecie tego klimatu, przypomnijcie sobie stare kreskówki z Kaczorem Donaldem. Kaczor nieustannie chodził naburmuszony z byle powodu, ciągle strzelał gafy czy organizował diaboliczne plany, które cały czas brały w łeb. Świadoma kinematografia zawsze fascynuje mnie swoim synkrytyzmem - tym jak scenariusz łączy się z muzyką i obrazem. Bo jeśli połączymy wszystkie puzzle składające się na tę kreskówkę, nagle uderzy nas, że nie ma żadnej przypadkowości w tym, że Kaczor Donald nie nosił spodni. Ten zabieg był w stu procentach celowy i zgodny z ideą slapsticku.

Slapstick powstał na początku XX wieku. Wtedy też przeżył swój rozkwit, kiedy to słynny Charlie Chaplin wcielił się w ikoniczną postać Trampa przyodzianą w melnik i obdarzoną niesławnym wąsikiem (przy okazji chciałbym wtrącić, że to najdrobniejsza tragedia na świecie, lecz wciąż tragedia, że przez pewnego Austriaka mężczyźni prawdopodobnie już na zawsze stracili możliwość sięgnięcia po ten prosty i elegancki styl wąsa). Chaplin sam określił swą postać tymi słowami:

[...] poeta, marzyciel, samotnik, stale wyciekający romantyczności i przygody. [...] jest uczonym, muzykiem, księciem, graczem w polo. Jednakże nie gardzi zbieraniem niedopałków czy okradaniem dzieci z cukierków. I oczywiście, jeśli sytuacja tego wymaga, potrafi kopnąć damę w zadek.

Jak widzicie mistrz w kilku zdaniach wyjaśnił lepiej słodki absurd slapsticku niż ja całym akapitem.

Styl ten ewoluował przez kolejne dekady w zależności od oczekiwań publiki. W latach 90., na przykład, jego twarzą stał się Leslie Nielsen („Naga Broń”, „Czy leci z nami pilot?”). Dziś ze świecą szukać w głównym nurcie dzieł typowo utrzymanych w tej konwencji, nie mniej trafiają się nowocześni reżyserzy wciąż czerpiący z niego pełnymi garściami. I takim reżyserem jest Wes Anderson, twórca „Grand Budapest

Hotel”. To niesamowicie ciekawy artysta i z chęcią przyjrzałbym się mu bliżej na kartach „Młodego Medyka”, jednak ostatnio dowiedziałem się, że dysponujemy limitem znaków, a po postawieniu kropki w tym zdaniu zostaje mi ich już niestety tylko 4474.

Wiecie więc już dobrze, że lwią część tego filmu stanowi slapstick. Przy każdym seansie „Grand Budapest Hotel” zachwycam się, z jak ogromnym wyczuciem jest on zawinięty w dialogi. Dzięki temu sama fabuła ani na moment nie traci rozpędu przez, chciałoby się rzec, idiotycznie komediowe dystraktory. Jest wprost przeciwnie. Kiedy film np. rzuca w nas celowo przeintelektualizowaną przemową już-już mającą wejść na niezdolnie patetyczny poziom, w samą porę z odsieczą przybywa slapstickowy gag



i trafia w samo sedno sytuacji, a więc prosto do serca odbiorcy. Choćby to było oszczędne skinienie głowy, przerysowana emocja na twarzy bohatera czy nawet wulgarnie słowo, jeśli są one sprytnie ulokowane w narracji, awansują do rangi jej współtwórcy. Absolutny majstersztyk. Byłem, jestem i do grobowej deski będę pod wrażeniem poziomu scenariusza tego filmu.

Musicie też wiedzieć, że Wes Anderson to nie lada sztuka w reżyserskim świecie i są ku temu powody. Od pewnego momentu kariery każde jego dzieło jest jak kolorowa cukiernia. Albo park miniaturowy. Albo przepiękna laurka zrobiona z ogromną wprawą i cierpliwością. Jego filmy krzyczą pastelowymi kolorami dobranymi w groteskowy, a mimo to wciąż jakoś współgrający ze sobą sposób. Postaci zachowują się niby normalnie, ale jednak absurdalnie. W obsadzie zobaczycie jedne z najbardziej charakterystycznych twarzy Hollywood: Ralph Fiennes, Adrien Brody, Willem Dafoe, Tilda Swinton, Edward Norton i wielu innych. Każdy z tych aktorów dostaje solidną przestrzeń, by pokazać nam pełnię swojego kunsztu i nadać swym postaciom prawdziwą głębię.

Oczywiście muszę też wspomnieć o kadrach. Bo wiecie, Wes Anderson nie kręci filmów, on je niemal maluje. Ile typowy filmowiec jest w stanie wyciągnąć ze zwykłego statycznego kadru? Nie wiem. Wiem natomiast, że o wiele mniej niż Anderson. Statyczny kadr - niby symetryczny - lecz z jakąś niedoskonałością, krzywiźną, załamaniem, do których oko wędruje samo, to prawdziwy modus operandi tego reżysera. Dodajmy do tego jakiś drobny smaczek, który wkrada się niekiedy w tę symetrię: jakaś postać w tle robiąca dziwną minę, stojący w dziwnym miejscu

kwiatek, przekrzywiony portret. W efekcie niemal każdą stopklatkę z filmu można oprawić i powiesić na ścianie w swoim domu jako pełnoprawne dzieło sztuki. A widz patrzy na każdy kolejny kadr i antycypuje: czy tym razem coś zaburzy harmonię obrazu? A jeśli tak, to w jaki sposób?

Mam nadzieję, że przekonałem już Was, że humor i estetyka wylewają się całym basenem z ekranu. A co z historią? I tutaj kolejny twardy orzech do zgryzienia dla Waszego niestrudzonego recenzenta. Poprzestańmy może na świecie przedstawionym, bo fabuły i tak nie będę w stanie zgrabnie zarysować - zwyczajnie przekracza to moje kompetencje. Niech więc pozostanie ona w całości przyjemną niespodzianką dla szczęśliwców, którzy jeszcze filmu nie widzieli. Główna akcja dzieje się w Europie lat 30-tych... ale nie do końca. Tytułowy Grand Budapest Hotel nie znajduje się w Budapeszcie, lecz w sercu Alp. Mało tego - nieopodal leży szczyt Sudetenwalczy (wszyscy oglądający film Polacy, a szczególnie Ślązacy, biorą głęboki wdech). Zaś przeważnie niemieckojęzyczny kraj stanowiący tło i bohatera historii zarazem (niewątpliwie wzorowany jest na Austro-Węgrach) nosi nazwę Zubruwka (Polaków na sali kinowej już nie ma, Polacy oszaleli). W miarę progresu fabuły zobaczycie też m.in. wojnę luźno wzorowaną na tych dwóch prawdziwych wojnach światowych i w pewien sposób istotną dla głównych bohaterów.

Za absolutnie fenomenalną ścieżkę dźwiękową odpowiada Alexandre Desplat. Pragnę podkreślić, że ona również ma swój udział w budowaniu świata przedstawionego, wprowadzając do tego całego miszmaszu dźwięki bałałajki i męskich chórków czerpiących z tradycji rosyjskiej i alpejskiego jodłowania. Wszystko to składa się na bajkowy, nieco odrealniony klimat, do którego nie tylko lubię wracać, ale czasami wręcz czuję taką twórczą potrzebę. Bo taki cudaczny amalgamat nie powinien mieć prawa zgrabnie działać, a działa, działa wręcz fantastycznie. Myślę, że na tym właśnie polega prawdziwa sztuka.

Jeśli jeszcze nie mieliście kontaktu z tym filmem, zróbcie sobie tę przysługę i dajcie mu szansę. Szczerze życzę Wam, że porwie Was tak samo, jak porwał mnie. Mam nadzieję, że tymi słowami pozostawię Was w stanie, który obywatele republiki Zubruwki określiliby jako *gespannt wie ein Flitzebogen*. Chylę czapkę i do zobaczenia w następnym numerze, ponieważ ukaże się w nim najważniejszy artykuł w historii tego czasopisma. Poważnie. ■

Piotrek Walicki



Egzystencjalna podróż po codzienności

„A zatem, skoro wszyscy jesteście sędziami, wszyscy jesteście winni, jedni wobec drugich, wszyscy jesteście Chrystusami na nasz obrzydliwy sposób, wszyscy kolejno ukrzyżowani nie wiedząc o tym.”

Autorem powieści jest Albert Camus, przekazuje on swoje myśli, nie kierując się przy tym stworzeniem konkretnej fabuły czy też narracji. Tak więc każde zdanie, każdy paragraf, niesie za sobą swoiste przesłanie. Pomimo iż została wydana w 1956 roku, jest ona wciąż aktualna.

Bohaterem, który towarzyszy nam przez całą książkę jest Jean-Baptiste Clamence. Drugą, również główną postacią, jesteśmy my. Książka napisana jest jako dialog, ale przedstawia tylko kwestie wypowiedziane przez głównego bohatera – jawi się więc jako nieustanny monolog. Ten nietypowy sposób prowadzenia narracji można niejako uznać za dwuosobowy. W porównaniu do innych utworów autora, metaforyka chrześcijańska jest bardzo rozwinięta. Sam tytuł odnosi się do biblijnego upadku – Adam i Ewa zostali wyrzuceni z raju, stracili oni swoją pozycję oraz szacunek. Pojawia się również wątek Chrystusa i sędziów – głównie wątki z Nowego Testamentu. Imię głównego bohatera odnosi się do postaci Jana Chrzyciela (jest to popularne we Francji). Ciekawym spostrzeżeniem jest więc fakt, iż imię to powiązane jest z wodą, a Clamence – pomimo swojej awersji do rzek – przeprowadza się do miasta otoczonego nimi. Stroni on od wody wskutek traumatycznego przeżycia – mieszka on w miejscu, które stanowi dla niego piekło. Rozmowa, która odbywa się między nami a Clamencem, ma miejsce w barze o nazwie Mexico City, znajduje się on poniżej poziomu morza (co jest ważnym aspektem w kontekście szerszego spojrzenia na cały utwór). Jest to aluzja do wizji Dantego na temat piekła – tak więc czytając między wierszami, główny bohater jest nikim innym, jak Lucyferem – upadłym aniołem.

Spełnienie i powodzenie w każdej dziedzinie życia wydaje się być celem egzystencji. Co pozostaje człowiekowi, gdy posiadzie bogactwo i otoczy się życzliwymi ludźmi? Clamence uważany był za cnotliwego, miał poważanie społeczne. Zadawał sobie trud, by pomagać potrzebującym – kreował się na niezwykle moralnego osobnika, by podbudować własne ego. Wykorzystywał on działania z pozoru altruistyczne do własnych korzyści. Na skutek tych działań ludzie, którym pomagał, wzbogacali jego ego. Poprzez pomoc i jałmużnę niejako „zdoby-



wał kontrolę nad tymi ludźmi”. Momentem przełomowym jest wydarzenie pewnej nocy, gdy główny bohater mija na moście kobietę, gdy ta podejmowała próbę samobójczą. Clamence mógł zachować się dwojako – zaryzykować swoje zdrowie i pomóc kobiecie, nie dopuszczając, by ta zrobiła sobie krzywdę lub egoistycznie przejść obok bez zwracania uwagi na to, co ma za chwilę nastąpić. Postanowił on jednak egoistycznie uciec z miejsca zdarzenia i nikomu się nie zwierzyć. „Jestem sam w ponurej Sali, sam na ławie oskarżonych, przed sędziami i sam żeby podjąć decyzję wobec siebie czy sądu innych. U kresu

każdej wolności jest wyrok; dlatego wolność tak ciężko udźwignąć.” Pozornie jego sytuacja się nie zmienia. Pomimo zachowania się zgodnie z jego idealami, nęka go podświadomie poczucie winy. Mijając mosty słyszy dźwięki – krzyk i śmiech, na statku widzi punkt – wydaje mu się, że to tonący człowiek, a jego przyjaciele i bliscy zdają się z niego szydzić. Jest to moment tytułowego upadku. Dylemat, który przetestował wewnętrzne wartości naszego mówcy, skutkowało jego „upadkiem z raju”. Zaczyna się on borykać z przykrymi i ciężącymi sytuacjami – poprzez rozwój paranoi zaprzepaszcza karierę adwokata, podupada na zdrowiu. W konsekwencji przeprowadza się do Amsterdamu, by zostać tzw. „sędzią pokutnikiem” (sam się tak nazwał), aby spowiadać się ludziom i opowiadać historię swojego życia.

Użycie symboliki chrześcijańskiej i odniesień, może być zwrotem w myśli filozofa. W ostatnich latach swojego życia krytycznie odnosił się do ateistycznego egzystencjalizmu, podczas gdy nigdy nie wypowiadał się negatywnie o chrześcijaństwie. Pojawił się również wątek autobiograficzny – Camus (wraz z jego drugą żoną) w pewnym sensie żyli w otwartym związku, jednak nie trwało to długo. Relacja ta miała negatywny wpływ na psychikę kobiety – skłoniło ją to do próby samobójczej, której świadkiem był Albert. Powstrzymał ją on, jednakże miało to niewątpliwie ogromny wpływ na dalsze życie ich dwojga. W książce, autokrytyka na koniec życia własnych poglądów – filozofii – jest sensem powieści i zadośćuczynieniem żonie. Czy życie jest zakłamanie? Czy egzystencjalistyczne spojrzenie na świat tworzy z nas absurdalnego herosa, który robi wszystko dla swojej wolności i szczęścia wobec bezsensu istnienia? Też książki możemy oprzeć właśnie o te dwa pytania. Na przykładzie Clamence’a śmiało możemy wysunąć stwierdzenie

nie, iż traumatyczne przeżycia weryfikują, czy takie postawy są faktycznymi, pozytywnymi postawami, jakie można mieć i według nich żyć, czy są tylko pustą pozą i kłamaniem sobie w żywe oczy. „Pewnego dnia lub nocy śmiech wybucha bez ostrzeżenia. Wyrok, który wydaje pan na innych, wali pana prosto w twarz i dokonuje na niej pewnych spustoszeń.”

Radykalnym przekonaniem Clamence’a było uznanie, iż skoro nigdy nie wyzbędzie się swojej winy, to jedyną rzeczą, jaka mu pozostaje, jest ściąganie innych w dół – ku swojemu poziomowi. Poprzez litość, jaką wydobywa przez swoje historie u innych ludzi, obarcza ich pośrednią winą (świadomością). Im więcej osób wie o jego winach (grzechach), tym stają się one mniej ciężące. Wiąże się to również z jego egoizmem. Następuje refleksja słuchaczy co do ich własnej osoby i tego, jakie mają udane życie w porównaniu do podupadłego na zdrowiu Clamence’a. Dominuje on nad innymi przez skrajne uniżenie. Czemu? - Odpowiedzią jest brak sensu (wrodzonego i konkretnego). Absurdyzm i brak boga w świecie utrudniają leczenie się człowieka i jego duszy. Ateista i cynik nie może ze szczerością zwrócić się do księdza o pomoc, by się wyświadczyć, więc nie ma komu się zwierzyć z ciężących mu problemów. Postanawia więc zrobić to (zverzyć się) losowym ludziom, mieszkańcom. Nie daje mu to jednak pełnej satysfakcji; kto jak nie bóg tak naprawdę ma odpuścić grzech – lecz go nie ma.

Droga, jaką przebywamy, zarówno jako słuchacz, jak i wcielając się w postać Clamence’a, jest wyobista. Pozwala nam doświadczyć życia i niejako uczyć

się na błędach innych. Jako czytelnik uświadamiamy sobie, że nasze życie to suma zbiegów okoliczności, ambicji i wytworu społecznego. Lub jak też napisał Taco: „Jesteś tylko sumą swoich suplementów (...)

jesteś sumą swych organów i hormonów, każdej rany, która winna jest powodu (...)

jesteś sumą noworocznych postanowień, które w lutym postanawiasz jakoś obejść (...)” ■

Orzo



18 XI 2023, Jelenia Dolina, 3.15 rano

Zapiski młodego lekarza

Skończyłem studia. To niezaprzeczalny fakt, choć mający już trochę czasu i do którego jeszcze nie zdążyłem się przyzwyczaić.

Co więcej, skończyłem staż. To jeszcze trudniejsze do przełknięcia, ale od dwóch tygodni nie jestem już pracownikiem Szpitala Wojewódzkiego, mimo tego wciąż się z nim identyfikuję.

Nie sposób jednak siedzieć beczynnie w oczekiwaniu na skierowanie na specjalizację. Właściwie to przesiedziałem już beczynnie cały miesiąc, bo niewykorzystany urlop, co poskutkowało zwiększeniem obwodu brzucha o dwa centymetry oraz masy ciała o dwa kilogramy. Niektórzy oczywiście podróżują, zwiedzają, ale niestety, raczej ze mnie typ pracoholika niż turysty. Plus, w tle są jakieś papiery do ogarnięcia.

W efekcie w połowie października rozpocząłem poszukiwanie jakiejś pracy, znajdując dwa NPL-e w miejscowościach na pograniczu województw, Jeleniej Dolinie i Rozdrożu Podlaskim. W Jastrzębiach Lubelskich zaproponowano mi też objęcie na pełen etat wysuniętego, terenowego odcinka służby zdrowia, to znaczy – POZ-u oddalonego o 15 km w nieokreśloną stronę od samych Jastrzębich. Już się widziałem jako wynajmującego pokój z wyżywieniem i praniem u jakiejś gospodyni, jako wiejskiego doktora w tweedowej marynarce i kaszkiecie, jako drugiego we wsi (po księdzu) i trzeciego w rozumie (po księdzu i Panu Bogu)... ale ostatecznie uświadomiłem sobie, że będzie to raczej kolidowało z moimi planami odnośnie rezydentury. Może trochę szkoda, tam mogłem liczyć

na poznanie panny z posagiem, to jest córki lokalnego plantatora kapusty, a tak pozostaje Tindero-wa posucha.

Pierwsze dni listopada minęły mi na formalnościach – pełnym PWZ, założeniu JDG, rejestracji w CEIDG, wpisowi do RPWDL, certyfikatowi ZUS, puli recept NFZ, ubezpieczeniu w PZU. A także na jedzeniu czekoladek (gorąco polecam bombonierkę J.D. Gross z Lidla, są tam czekoladki o smaku szampana).

Pierwsze noce listopada minęły za to na nauce – tym razem zupełnie innej niż do LEK-u, praktycznej, nie teoretycznej, z chorób codziennych, niewyrafinowanych. Czytając kolejne slajdy internetowego kursu, uświadamiałem sobie, jak bardzo czuję się nieprzygotowany do pracy po studiach (okej, przyznaję się bez bicia – orłem to ja nie byłem) oraz jak wiele jest groźnych diagnoz pozornie błahych objawów.

I tak oto mijały godziny, mijały dni, mijały noce, zegar odliczał nieuchronne, aż w końcu.. w końcu nadszedł pamiętny 17. listopada.

Kwadrans przed osiemnastą stanąłem w drzwiach szpitala w Jeleniej, z teczką w ręku, płaszczem na karku, duszą na ramieniu, strachem w oczach i IBS-em w kiszkach...

C.D.N.

P.S. Tytuł tego cyklu może się wydać znajomy co bardziej czytany. Dobrych sto lat temu Michaił Bułhakow, wielki rosyjski pisarz i dramaturg, z wykształcenia lekarz, pod tym tytułem opisał swoje początki pracy w charakterze prowincjonalnego doktora. Do pięt mu nie dorastam, ale mam nadzieję, że nie obrazi się za pożyczenie tytułu. Mam też nadzieję, że Czytelnik, zachęcony tytułem i niniejszą notką, sięgnie po „Zapiski Młodego Lekarza” Bułhakowa, bo warto. W razie czego, mogę pożyczyć swój egzemplarz. ■

Jakub Aleksiejuk

Historia antykoncepcji w migawce, czyli same ciekawostki

Przez wieki kobiety, często w tajemnicy przed mężami, którzy pragnęli nieustannie zwiększać szansę na kontynuację linii rodowej, stosowały środki antykoncepcyjne lub na własną rękę doprowadzały do poronienia. Ze względu na to, że nie wolno było im udzielać się aktywnie w środowisku naukowym o ich metodach dowiadujemy się z zapisków ginekologów, pamiętników, opowieści babek lub też z ich spowie-

Ileż można rodzić? Rekordzistka Fiodorowa Wasilijewa, chłopka z Rosji, w latach 1725–1765 urodziła 69 żywych noworodków. Wszyscy wiemy, że jeszcze w ubiegłym wieku kobiety rodziły jak najwięcej dzieci ze względu na kiepski wtedy rozwój medycyny i wiedzy społecznej o zdrowiu. Śmiertelność noworodków była wysoka, jeszcze w latach 70. XX wieku osiągała tylko w krajach rozwiniętych 17%. Pod koniec lat 90. zmniejszyła się o 10%, co było wielkim sukcesem medycyny.

dzi. Otóż francuski teolog w 1842 roku doniósł, że Francuzki coraz częściej przyznają się do nakłaniania ku stosunkom przerywanym. Księży zamurowało – czy to taka moda, czy wejdzie ona już na stałe do francuskich domów? Watykan kazał czekać. Po 9 latach papież Pius IX stanowczo polecił, aby występować przeciwko jakiegokolwiek próbie zapobiegania ciąży, a po wojnie z Prusami Kościół obciążył winą za porażkę samych Francuzów, argumentując to właśnie stosowaniem zakazanych

praktyk, czego konsekwencją miały być małe zasoby militarne.

Co ciekawe, rok później pewien teolog Lecomte spisał swoje obserwacje z sekcji na sukach i wysnuł wniosek o tym, że u kobiet również występują dni niepłodne. Kościół szybko to podchwycił i zezwolił na metodę tzw. kalendarzyka. Uzasadnił to prosto – skoro jest czas, kiedy kobieta nie może zajść w ciążę, to Bóg musiał to przewidzieć, dlatego taka metoda antykoncepcji powinna być dozwolona. Dopiero 50 lat później udowodniono, znacznie mniej fatalną metodą, że faktycznie dni niepłodne istnieją, jednak w tamtym czasie pasowało to do polityki kościelnej. Nie to, co teoria heliocentryczna, nad którą rozprawiano jakieś dwa stulecia.

Historia antykoncepcji nie zaczyna się jednak w XIX wieku. Już ludy pierwotne porównywały cykl miesięczkowy do faz księżyca, co, jakby nie patrzeć, ma ze sobą całkiem dużo wspólnego. W starożytności kobiety przed stosunkiem aplikowały specjalne tampony zrobione z roślin, które pod wpływem temperatury obniżały pH pochwy, co działało plemnikobójczo. W krajach Wschodu używano owocu granatu, który może i stanowił symbol płodności, ale zmieszany z woskiem zamykał ujście szyjki macicy i dzięki zawartemu w miąższu estrogenowi zapobiegał jajeczkowaniu. Wśród ludów germańskich antenatki formowały z wosku pszczelego kapturki, które stały się prekursorem dla dzisiejszych kapturków naszyjkowych. Znany na całym świecie kochanek – Casanova – wykorzystywał w XVIII wieku jako środek antykoncepcyjny sok z cytryny wyciśnięty do pochwy.

Prezerwatywy natomiast znane są już na 3 tysiące lat przed naszą erą ze starożytnych rysunków. Opisane były dopiero w XV wieku i początkowo wykorzystywano je do ochrony przed chorobami wenerycznymi. Z historii na początku artykułu można wysunąć nieśmiało przypuszczenie, że gdyby udowodniono ich działanie antykoncepcyjne, to zabroniono by ich używania (co jest nieco ironiczne, zważając na to, że przypada to na wieki wstydu). Materiały do wytwarzania prezerwatyw były jednak nieprzyjemne w użytkowaniu i wymagały przyzwyczajenia. Robiono je na przykład z jelit owiec, pęcherzy ryb i kóz, a nawet z jedwabiu. Co ciekawe, mimo zmiany materiału do wykonywania prezerwatyw, powszechna niechęć do ich używania ze względu na brak wygody utrzymuje się nawet we współczesności.

W nakreśleniu burzliwej i zdecydowanie zbyt obszernej na jeden artykuł historii antykoncepcji, nie sposób nie wspomnieć też o dr. Wilhelmie Mensindze z Flensburga, który zapoczątkował trwającą do dziś wojnę o kontrolę urodzeń. Do działania nakłonił go pewien nekrolog, który brzmiał: „z niezbadanej woli boskiej zmarła dziś w pòłogu moja droga, ukochana małżonka Teresa, w wieku zaledwie trzydziestu dwóch lat. Nieutuleni w żalu, otaczamy z dziesiątką dzieci jej trum-

nę”. W tamtym czasie w Rzeszy Niemieckiej za aborcję kobieta była karana więzieniem. Dramat kobiet, które doprowadzały do poronienia używając metalowych drutów do robótek ręcznych czy okładając brzuch pięściami, kończył się niestety ich śmiercią. Rozpoczął on więc badania nad bezpiecznym, skutecznym i tanim środkiem antykoncepcyjnym. Wynałazł pessarium. Jego dzieło spotkało się z oburzeniem, a sam ginekolog ze społecznym ostracyzmem. Niektórzy jednak wysoko postawieni ginekolodzy, którzy nie poddawali się społecznej perswazji, wypróbowywali jego kapturek. Mensinga aktywnie udzielał się w dyskusjach na temat moralności kobiet używających antykoncepcji (w których, jak i teraz, udział brali przeważnie mężczyźni). Był znawcą Biblii i ginekologii, zaciekle odpierał argumenty o tym, że kobieta naturalnie całe swoje życie tęskni za macierzyństwem. Gdy pewien lekarz okręgowy oświadczył, że nie powinno powierzać się matkom decyzji o przyszłych pokoleniach narodu, ten odparł, iż „kobieta wciąż jest jeszcze pod wieloma względami orientalną niewolnicą. Nasze czasy mogą służyć temu, by z poetyckiego uwielbienia dla kobiet wyciągnąć praktyczne konsekwencje”. Głosił, że kobiety zawsze będą matkami niezależnie od woli lekarzy. Mensinga pod koniec życia spisał historię stu swoich pacjentek, kończąc ją słowami: „kiedy niezachwiany w swojej wierze głupiec twierdzi, iż każdy stosunek, który nie zmierza do zapłodnienia lub nim nie skutkuje, jest niemoralny, to jakąś niewyobrażalną niemoralność musiałbym udowodnić tym pacjentkom”. Nie dożył oświadczenia dyrektora szpitala klinicznego w Berlinie, w którym uznano jego pessarium za najlepszy, mechaniczny środek antykoncepcyjny – zabrakło mu 21 lat. Następne lata, na które przypada II wojna światowa, ukróciły dyskusje o antykoncepcji. Na szczęście Mensinga swoim wynalazkiem zainspirował Margaret Sanger, amerykańską pielęgniarkę, która, mimo nieprzychylności amerykańskiego rządu aresztującego ją za obsceniczną, doprowadziła do upowszechnienia klinik regulacji urodzeń, cofnięcia ustaw określających stosowanie antykoncepcji jako przestępstwo, a także rozpoczęła prace badawcze nad pigułką antykoncepcyjną. Zarówno działalność Mensinga, jak i Sanger nie zakładały usuwania ciąży – ich idea antykoncepcji miała zapobiegać aborcjom prowadzonym przez niewykształconych ludzi w niesanitarnych warunkach. Kobieta współczesna otrzymała dzięki antykoncepcji, nieznaną jeszcze 70 lat temu, wolność. Powinno stać się normalnym to, że sama decyduje, kiedy i jak często ma zostawać matką. Według szacunków WHO ponad 100 milionów kobiet na świecie stosuje antykoncepcję hormonalną. Do dyskusji poddaję kwestię antykoncepcji dla mężczyzn. ■

Wiktoria Ciok

Jedyną stałą w życiu jest zmiana

Według niejakiego Heraklita z Efezu, greckiego filozofa, „jedyną stałą w życiu jest zmiana”. Nie wiem, czy naprawdę to on sformułował taką frazę, bo nie mam 4000 lat jak Edyta Górniak ;), ale niezależnie od autora słów, wydają się mieć one w sobie sporo prawdy. Zmiany dostrzegalne są wszędzie: zmienia się nasze otoczenie, planeta, na której żyjemy, ludzie wokół nas i my sami.

O tym, jak błyskawicznie one zachodzą, przypomina mi rozmowa z moją babcią. Babcia w czasach swojej młodości wybierała się PKS-em z małej miejscowości do Warszawy oddalanej o około 140 kilometrów, do sklepów mieszczących się przy ulicy Żytniej. Bezpośrednio, bez żadnych przesiadek do innych środków transportu. Obecnie jest to niemożliwe (a szkoda), bo przesiadki musiałyby być przynajmniej trzy. Babcia, będąc we współczesnej Warszawie, nie może nadziwić się widokom. Nie ma już tych sklepów, w których do kupienia było zaledwie kilka rzeczy, bo teraz od ilości dostępnego towaru w najróżniejszych opcjach może rozboleć głowa. Miejsca, które widzi teraz, w najmniejszym stopniu nie przypominają tych z dawnych lat, które wciąż ma w pamięci. Ma poczucie, że jest w zupełnie nieznanym mieście. Poza zmianą architektury zauważa pokoleniowe rozbieżności w podejściu młodych ludzi do związków, nauki, pracy, samorozwoju czy komfortu psychicznego. Priorytety były inne, niejednokrotnie wymuszone przez rodzinę czy sytuację społeczno-gospodarczą kraju. I wcale nie dochodzi do wniosku, że kiedyś było lepiej, a przynajmniej nie w każdej kwestii.

Myszę, że ciężko jest podważyć dowody na zachodzące zmiany. Dotyczą każdego z nas bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie. Nie zapobiegniemy im, a na wiele z nich przecież nawet nie mamy realnego wpływu. Przemianom często towarzyszy lęk, niepewność, stres. Boimy się „nowego”, bo być może będzie dla nas nie lada wyzwaniem. Może zostaniemy postawieni w sytuacji wymagającej podjęcia jakichś decyzji, które ostatecznie wcale nie muszą mieć pozytywnego wpływu na bieg naszego życia. Będzie wymagało to wyjścia ze strefy komfortu. Bywa i tak, że nie możemy czegoś albo kogoś zmienić, chociaż bardzo byśmy chcieli. Nie mamy pełnej mocy sprawczej.

Obserwując ludzi z mojego otoczenia, widzę, że dla niektórych ten lęk przed nowym doświadczeniem jest silniejszy od motywacji do wzięcia spraw w swoje ręce. Boimy się tego, co powiedzą inni na temat naszych działań, nie mamy w sobie odwagi na poniesienie

ewentualnej porażki. Porażki, albo delikatniej ujmując, niezbyt udane próby, to wręcz zupełnie zwyczajna codzienność. Zawsze znajdzie się coś, co może „nie wyjść”. Mówi się, że błędów nie popełnia ten, który nic nie robi, a zdarza się, że nawet z tych pozornych błędów rozwijają się satysfakcjonujące wydarzenia. Niektórzy jednak, w kontrze do poprzedniej grupy, mają potrzebę spontanicznego robienia większych i mniejszych upgrade'ów życia (trochę zazdroścę). Może taka niepewność i pytania w głowie — „a co by było gdyby” — działają mobilizująco? Nie wiem. Najwyraźniej jest to jakiś rodzaj ucieczki przed monotonią. Wiem za to, że do tej grupy ludzi nie należę. Nie należę też do grupy poprzedniej, unikającej zmian. Jestem chyba gdzieś pomiędzy. Potrzebuję regularnych nowinek w życiu, podejmuję się nowych aktywności, a rozwiązań szukam trochę wbrew powszechnym schematom. Takie działania uczą mnie najwięcej, dają nowe doświadczenie i pozwalają spojrzeć z nowej perspektywy na dany problem. Nie zmienia to faktu, że przed każdym nowym krokiem muszę przeanalizować wiele aspektów. Często niepotrzebnie. Uczę się widzieć w trudnościach nowe szanse.

Zauważyłam, że czuję się raz na jakiś czas przytłoczona ilością otaczających mnie innowacji, ale też intensywnością z jaką zachodzą. Część z nich wydaje mi się bezcelowa, za częścią nie nadążam. Staram się, mimo wszystko, zachować w tym życiowym kalejdoskopie swoje własne tempo, a zmiany tolerować. Przecież i tak ich nie powstrzymam. ■

Julia Majewska



Przepis na sernik pistacjowy

Smutne, jesienne miesiące potrafią dobić nawet najtwardszych zawodników. Przychodzimy zatem z przepisem na poprawę humoru! Sernik pistacjowy roztopi się na waszych podniebieniach, a z nim problemy, niezapłacone rachunki i dietetyczne postanowienia. Pyszny kawałek ciasta pozwoli Wam zdobyć serca teściowej, portierki i każdej redaktorki Młodego Medyka.

P.S. Sernik najlepiej smakuje kradziony. Nie polecamy zostawiać go bez opieki w kuchni w akademiku.

Spód

- 160g ciasteczek Oreo, Hit lub herbatników kakaowych (masa bez nadzienia)
- 40g roztopionego masła

Krem

- 370 g pasty pistacjowej lub kremu pistacjowego
- 250 g twarogu półtłustego
- 200g serka mascarpone
- 100g cukru
- 3 łyżeczki żelatyny w proszku
- Prażone, niesolone pistacje (do posypania na wierzch ciasta)

Ciasteczka bez nadzienia zmieścić lub pokruszyć do uzyskania jednolitej, sypkiej konsystencji.

Wysypać je do formy na ciasto, zalać roztopionym (ostudzonym) masłem, lekko i równomiernie ugnieść łyżką.

Tak przygotowaną formę włożyć do lodówki na min. 30 minut.

Twaróg zmielić na gładką masę, a następnie dodać pastę lub krem pistacjowy, serek mascarpone i cukier. Wymieszać dokładnie.

Żelatynę wsypać do zimnej wody i podgrzać w rondelku na małym ogniu do całkowitego rozpuszczenia (ważne, by nie dopuścić do zagotowania). Lekko ostudzić (musi być dalej płynna), dodać łyżkę wcześniej przygotowanego kremu i dobrze wymieszać. Następnie połączyć z resztą kremu.

Dobrze wymieszaną masą zalać formę ze spodem ciasteczkowym.

Z wierzchu udekorować łuskany pistacjami.

Tak przygotowane ciasto odstawić do stężenia na min. trzy godziny, a najlepiej na całą noc.

Bon appétit! ■

Łukasz Danielski / Natalia Olszewska



Łyso ci?

Na ostatnich odwiedzinach u gimnazjalnego kolegi o nogę otarła mi się jakaś kula. Patrząc w dół: łysy kot, kompletnie łysy. Podnoszę: skóra goła, trochę szorstka, ale nie sucha. Na klatkę piersiową nasunięty zielony kubraczek, jak jakiemuś potwornie zdeformowanemu niemowlakowi; z niego z przodu wystaje pomarszczona główka, a z tyłu zad ze szczurzym ogonem. Inni goście nie chcieli się nim zająć. Tak po raz pierwszy w życiu zetknąłem się ze sfinksem. Bardzo się polubiliśmy.

Pamiętam, jak mama mi raz powiedziała, że nie lubi sfinksów. Dlaczego? Bo “nie ma się do czego przytulić”. Sama skóra, bez puszystego futra. Od kolegi dowiedziałem się, że na utrzymanie zdrowia tej nieprzyjemnej skóry nie wystarczy sam kubraczek na zimę, ale również odpowiednia ochrona przed słońcem na lato; trzeba więc miśka pilnować, żeby się nie nagrzewał w miejscu nasłonecznionym za długo (ale ten konkretny aż tak słońca nie lubi). Należy też go nawilżać, ale nie za bardzo, bo wtedy łatwo o infekcję. Kąpiele to też konieczność, a po kąpieli dokładne, acz delikatne osuszenie. I po co to wszystko? Żeby ludzie czepiali się, że takiego kota nie da się trzymać na rękach, bo się czują, jakby trzymali surowego kurczaka. Żeby jeszcze kot był tutaj czemukolwiek winien.

Nazwa rasy sugeruje, że mamy do czynienia z kotami hodowanymi dla faraonów od czasów, kiedy szarańcza pustoszyła egipską uprawę. Figa, sfinksy po raz pierwszy zarejestrowano w Kanadzie w XX wieku. Wydaje się, że już bardziej geograficznie niefortunnie się nie dało; tysiące lat dopieszczania genetycznej galerii do perfekcji tylko po to, żeby w wyniku hodowli skończyć jako bezwłosy kot pośrodku regionu świata klimatycznie przypominającego styczniowy Białystok.

Czymś w rodzaju pocieszenia dla sfinksów może być fakt, że nie są jedyną rasą zwierząt domowych, która została przez hodowców w jakiś sposób oskubana; oprócz nich są jeszcze mopsy, czillały, minksy bez ogonów, persy z krótkim pyskiem, bulteriery z butelkowaną mordą, owczarki niemieckie ze zwisającym zadem, duszące się w lecie buldogi i niskopodłogowe jamniki. Nie zapominajmy też, że nie aż tak dawno temu powszechnie akceptowalne było przycinanie uszu do odpowiedniej długości;

a przynajmniej akceptowalne na tyle, żeby znaleźć się w książeczce “opieki nad psem”, którą mam w posiadaniu (żeby nie było: w charakterze ciekawostki historycznej; za to porady z “O skutecznym hodowaniu dzieci” z XVIII wieku jak najbardziej zamierzam wypróbować w praktyce). I po co? Żebyśmy narzekali na to, że te zwierzęta są drogie w zakupie, drogie w utrzymaniu i w ogóle jakies takie chorowite.

Mizantropiczne smęty na bok. Czy cokolwiek wymienionego wyżej sprawia, że ten kot gorzknieje? Otóż nie. Skubaniec robi użytek z tego, co ma (a właściwie czego nie ma) i na swój koci sposób czerpie z życia całymi garściami; podczas gdy jego owłosiony kolega siedział sam w ciemnym pokoju obok, łysy sam wchodził na stół, kradł kanapki, każdy opiernicz przyjmował na schowaną pod kubraczkiem klatę. Trafił mu się niezły przywilej bycia pod opieką kochającego właściciela i nie zamierza tego przywileju marnować na narzekanie w studenckim miesięczniku. Ewidentnie to nie ja w tej relacji powinienem udzielać mu porad na przyszłość i protekcyjnie pochylać się nad jego biednym losem; powinienem spoważnieć, wyciągnąć kartkę i robić notatki.

Mam nadzieję, że już nikt ze sfinksów się śmiać nie będzie. Na szczęście nie muszę grozić, co się stanie, kiedy choćby jednemu z nich spadnie włos z głowy, bo z tym akurat radzą sobie perfekcyjnie. ■

Knur w kitlu



To miał być luźny rok

- Wie Pani, że potrafię nie zaliczyć ćwiczeń? Jeśli się Pani nie wysili trochę i tego nie rozpozna - prowadzący patrzy na mnie, a jego spojrzenie przeszywa mnie aż do kręgosłupa. Patrzę na EKG, mocno mrużąc oczy, aby zauważyć te wszystkie załamki i linie.

- Jeśli Pani tego nie rozpozna, pójdzie Pani do więzienia - moja pierwsza, irracjonalna myśl

brzmi: „Czy zamknę mnie na weekend w izolatce na oddziale i nie wyjdę, aż się tego nie nauczę?”

- Za coś takiego jest prokurator. A Pani za trzy lata będzie leczyć

ludzi - paraliżuje mnie. Na tyle, że zapominam, że przecież zapisałam sobie na kartce rozpoznanie tego EKG, przecież zrobiłam je w domu.

- Zzzzawał - wyduszam z siebie.

Wracam do mieszkania. To nie jest śmieszna historia. To nie jedna z anegdotek, które lubię przytaczać na łamach Młodego Medyka. Wracam zmęczona psychicznie i fizycznie. Otwieram drzwi do domu, zawijam się w koc i pozwalam łzom płynąć. Daje upust emocjom. Ktoś może machnąłby na tę sytuację ręką, ale ja nie potrafię. Czuję własne ograniczenia. Ciężko mi ogarnąć nawet podstawy interpretacji EKG po tygodniu. Nadal mi trudno, nadal mało widzę i nadal usilnie próbuje zapamiętać, kiedy jest rytm zastępczy zatokowy. Ocieram łzy i myślę, że przeciwności nie mogą mnie załamywać. Pojadę do czytelnicy, wypożyczę książki do nauki elektrokardiogramu i dam radę. Robię sobie cały termos kawy, jem porządny obiad i jadę pełna nadziei, słuchając „Unstoppable” Sii. Wyciągam dane do domu EKG, które mamy omawiać kolejnego dnia i zaczynam je porównywać z pięcioma książkami porozkładanymi wokoło mnie. Przez godzinę udaje mi się zrobić wstępną analizę, z której jestem zadowolona. Dla pewności pytam jeszcze o poradę koleżankę, która jest zapaloną entuzjastką kardiologii. Odpisuje. Wszystko zrobiłam źle.

Wybija godzina 20.00, więc muszę wyjść z czytelnicy i wrócić do domu. Stoję na przystanku. Pada

deszcz i tak jak jesienne błoto z ulicy, zmywa łzy z mojej twarzy. Płyną sobie bez mojej zgody i wcale nie chcą się zatrzymać. To takie „nieinstagramowe”, pisać o swoich porażkach czy ograniczeniach. Wszyscy lubią tylko mówić, chwalić się i pisać o tym, jak im się wszystko udaje i jacy są w czymś dobrzy. Ja też to lubię, ale prawdziwe życie wygląda inaczej. Piękny szpital kliniczny, piękny scrubs, piękny stetoskop, piękna fryzura, uśmiech i wiedza na 99% na każde ćwiczenia, wliczając w to najnowsze wytyczne skali CHA2DS2-VASc. I wtedy wszyscy mówią, że kochają medycynę i uwielbiają te studia, spełniają marzenia. Ale ja czasem ich nienawidzę.

Kiedy czarę goryczy przelewa historia znajomej lekarki, że jej kolega dostał nagłego zatrzymania krążenia na egzaminie specjalizacyjnym i go reanimowali. Czy, jeśli przeżył, to powiedział sobie, że naprawdę było warto?

Kiedy czuję, że w tydzień nie jestem w stanie tak ogarnąć EKG, żeby interpretować je bez problemu, a i tak będzie to ode mnie wymagane.

Kiedy wracam do domu tak zestresowana zajęciami, że już w poniedziałek nie mam siły na kolejne dni ćwiczeń.

Kiedy dopijam trzecią kawę, żeby dotrzeć chociaż do 22:00 z nauką i wstać o 5:00, żeby nadrobić zaległości.

Kiedy daję z siebie wszystko, daję tyle, ile mam siły i mogę, a i tak mi się nie udaje.

Miałam nie pisać tego tekstu. Ale potem uznałam, że może nie tylko ja jestem w takim momencie. Może ktoś to przeczyta i pomyśli, że nie jest sam. Piszę ten tekst dla wszystkich, którym jest ciężko. Którym nie idzie super świetnie, którym nawet nie idzie w miarę dobrze, mimo że naprawdę próbują. Dla wszystkich, którzy czują frustrację, bo poszli na pierwszy, drugi, trzeci czy którykolwiek rok studiów z jakimiś oczekiwaniami, a rzeczywistość ich nieprzyjemnie zaskoczyła.

Dla wszystkich, którzy może potrzebują przytulenia i zrozumienia ich emocji, uczuć, bo każdy ma inny próg tolerancji. Inny próg, kiedy dużo już jest „za dużo”. Dla wszystkich, którzy myślą, że jest dopiero listopad, a mają dosyć.

Ja też mam.

Ten rok miał być luźny. Miał być odpoczynkiem po trzecim, oazą spokoju i wewnętrznej harmonii. No i był. Przez dwa tygodnie.

Ale wiecie co? Mimo wszystko, damy radę. Damy radę, bo z tego składa się życie. Z porażek i sukcesów. A czasem tym sukcesem jest kolejne podejście do poprawki. ■

Róża Maria Huszcza

Wieczór

Miłosz Barańczuk

Nie zapamiętałem

Myśl ta w mojej głowie się wierci,
jest od wielu lat nieprzerwaną,
że gdy nadejdzie dzień mej śmierci,
to oni mi w myślach zostaną.

Wszyscy ci ludzie, co tam byli,
ci, co role w mym życiu grali,
ci, którzy coś więcej znaczyli,
w kartach życia się zapisali.

A Pan Bóg, co jest Sprawiedliwy,
Ten drzwi mi sędziego uchyli,
a żem nie jest człek bardzo mściwy
dam to im, na co zasłużyli.

Kto zabił - tych przeklnę i skrwawię,
kto karcił - wybaczę... i siema,
kto pomógł - wywyższę i zbawię,
kto kochał -... przecież takich nie ma.

Miłosz Barańczuk

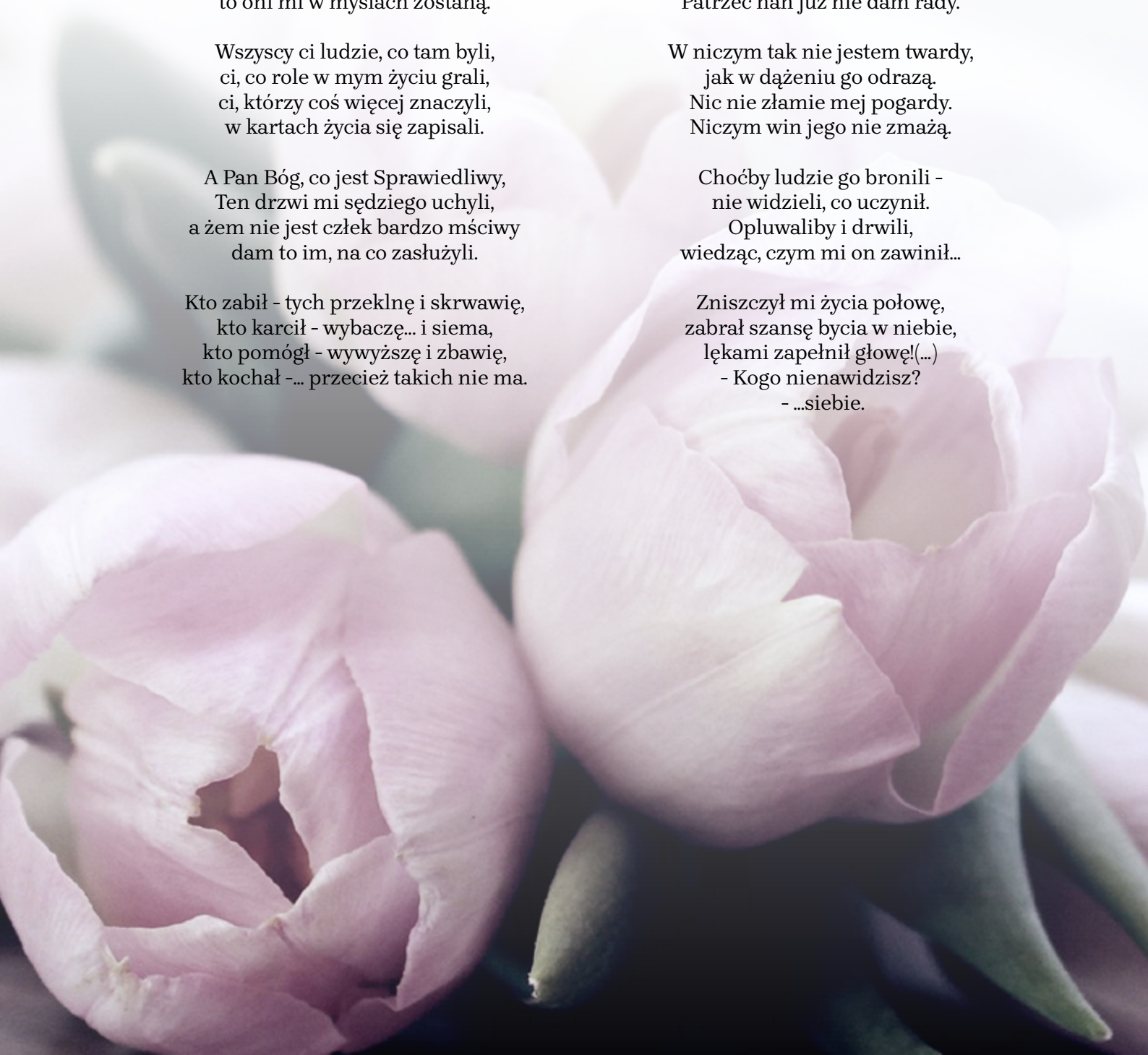
Nienawidzę

Niczego tak nienawidzę,
z nikim nie mam takiej zwady,
nikim bardziej tak nie szydę.
Patrzeć nań już nie dam rady.

W niczym tak nie jestem twardy,
jak w dążeniu go odraża.
Nic nie złamie mej pogardy.
Niczym win jego nie zmażą.

Choćby ludzie go bronili -
nie widzieli, co uczynił.
Opluwaliby i drwili,
wiedząc, czym mi on zawinił..

Zniszczył mi życia połowę,
zabrał szansę bycia w niebie,
lękami zapełnił głowę!(...)
- Kogo nienawidzisz?
- ...siebie.



z Poezją

R.M.H

Słowność

Zarzekasz się, że jesteś odpowiedzialny.
Chciałabym Ci wierzyć
lecz nawet mówiąc: „Tylko jedno zdanie”
odpowiadasz mi dwoma.

Jerzy Kraczewski

Immersja

W Twoje ręce, moja Miła,
Składam serce, krew i rozum
Dla świata to jest tylko chwila
Dla nas to wieczności sposób

Niech me serce skołatane
Mocnym rytmem w Tobie bije
Niech przeczeka każdą zmianę
Niech da trwałość Ci i siłę

Krew niech niesie wszystkie chwile
Płynie wartka rzeka namiętności
Poczuj wszystko to, czym żyję
Moje smutki i radości

Z rozumem ciężko się tak rozstać
Lecz nie potrzebny mi przy Tobie
Myśli ostra dręczy chłosta
Ukojenie w Twojej osobie

Masz już w ręku wszystkie części
Każda sama nic nie znaczy
Łączą nas mocniejsze więzi
Owoc naszej słodkiej pracy.

Kinga Grzebińska

A później zakwitły tulipany

Półsenie spoglądałam w przyszłość
Ale ta ukryła się gdzieś w okrytym mgłą sadzie
Wiatr zawiął dziś mocniej i prawie mi sens uleciał
Spadł na ziemię
liść go przykrył i
I już nic nie wiedziałam
Przechodząc obok starego cmentarza
dreszcz przeszedł po moim ciele
W oddali słychać zegar na wieży
Tuż obok zgasła świeca i dym uleciał
Pod stopą czaszka
I wtedy zrozumiałam

PRZEMIJANIE

Wchodzę do domu do suchej nitki przemoczona
Z kuchni ucieka znany zapach
tak to placek dyniowy
Wołam
Już jestem
Wróciłam
Nikt nie odpowiada
Bo już nikogo w domu nie ma
Wychodzę do ogrodu nogę ciągnąc za nogą
Na ławce jakaś postać siedzi
Kim jest i co tu robi
Zapomniałam
Tak już pamiętam
Rok temu też opadły wszystkie liście
Śnieg ławkę zakrył
A później zakwitły tulipany